

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK II WIELKOPOLSKA SIERPIEŃ 1932 NR. 8 (11)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

WSPÓŁCZESNA GRAFIKA POZNAŃSKA

Zamierzam zwiedzić wystawę *Współcz. Grafiki Poznańskiej w Muzeum Wielkopolskiem.* Kto z państwa ze mną? Bardzo proszę. Wiem, nie będzie nas zbyt wielu. Słusznie powiedział Archipenko: „sztuka stworzona jest dla wszystkich ale nie wszyscy stworzeni są dla sztuki". Mimo to, jest nas przecież spora gromadka. Zatem, — zejdźmy do podziemi muzeum, gdzie w przytłumionej półmrokiem sali, dr. *Alfred Brosig,* niestrudzony prezes *Tow. Miłośników Grafiki* zorganizował jedną z najciekawszych ekspozycyj jakie w latach ostatnich mieliśmy możność oglądać w Poznaniu, a pierwszą wogóle wystawę grafiki poznańskiej.

Zanim zejdziemy, jeszcze kilka słów. Ktoś z państwa mógłby słusznie zapytać, czemu to ja właśnie zabieram głos. Z czyjego upoważnienia? Na podstawie jakich kwalifikacyj? Czy jestem „urzędowym" przewodnikiem po wystawie czy zaprzysiężonym „znawcą" i „recenzentem" artystycznym?

Nie jestem ani przewodnikiem ani recenzentem. Proszę się uspokoić i pozostać. Nie będę „sucho" i na „chłodno" wyliczał nazwisk, tytułów i dat, ani uzasadniał swych poglądów tajemniczym językiem augurów. Zabrałem głos, bo w tej ważnej sprawie trzeba, aby ktoś wogóle głos zabrał, choćby po to tylko, aby zwrócić uwagę. A na wystawę grafiki idę dlatego, ponieważ jestem jej (wprawdzie nigdzie nie notowanym) miłośnikiem no i wolę oglądać grafikę niż np. gwiazdy filmowe czy bokserów. Nie wierzycie? Przyjdźcie sami. Pomawiacie mnie o snobizm? Gwiżdżę na to i proponuję, abyśmy zeszli już wreszcie do muzealnych podziemi. Proszę się jednak zbytnio nie spieszyć. Dobrze będzie w drodze przygotować się trochę na czekające nas za chwilę przeżycia estetyczne. Przecież w tych dawnych czasach,



Z Wystawy Współczesnej Grafiki Poznańskiej
Wilk-Ossecki Akwaf. miesz.

kiedy to jeszcze istniał prawdziwy, poważny i uczciwie pracujący teatr, człowiek przed pójściem na „Wyzwolenie" czy „Dziką kaczkę" zapoznawał się najpierw jaknajdokładniej z autorem sztuki, wczytywał się w jego utwór, aby potem z loży czy galerji nie patrzeć na scenę jak wół na malowane wrota i wznosić wspaniały zamek wzruszenia estetycznego na niepewnym i niewystarczającym fundamencie samego tylko „wrodzonego" smaku. Mam zbyt mało czasu, aby scharakteryzować stan współczesnej grafiki. Trzebaby na to tomów no i drobiazgowych studjów. A nam nie o balast teorji sztuki przecież idzie. Zresztą wiemy o tem dobrze jakie czai się tu niebezpieczeństwo. Znamy historyków sztuki, którzy w stosunki do dzieł sztuki zachowują się jak ślepcy. My zaś nie tyle chcemy „wiedzieć" ile „widzieć" i „przeżyć". Idzie nam tylko o to, aby oglądane dzieło sztuki umiejscowić na właściwem tle i patrzeć nań z odpowiedniej odległości.

Zatem narysujemy tło, chociażby tylko kilkoma szerokiemi syntetycznemi linjami.

Rozkwit współczesnej grafiki polskiej datuje się mniejwięcej od r. 1910. Wielkiej kultury malarz *Józef Pankiewicz* tworzy w Krak. akademji sztuk pięknych pierwszy warsztat, którego jedynym celem ma być kultywowanie grafiki w sposób programowy. W Warszawie, dzięki inicjatywie *Ignacego Łopieńskiego, Zofji Stankiewiczówny* i *Franciszka Siedleckiego* powstaje *T-wo Przyjaciół Grafiki.* Wojna przerywa owocną działalność towarzystwa jak również uszczupla gromadkę grafików krakowskiej akademji pracujących już pod wymagającem okiem następcy Pankiewicza prof. *Jana Wojnarskiego.*

Ale już rok 1919 pozwala na podjęcie dobrze zaczętego dzieła. Członkowie Towarzystwa Przyjaciół Grafiki zakładają w Warszawie ze współudziałem Władysława Skoczylasa Związek Polskich Artystów Grafików. Promieniowanie wielkiego talentu Skoczylasa nie pozostaje bez poważnych skutków. Dookoła mistrza

skupia się cała nieomal młoda grafika warszawska, by w r. 1927 zespolić się w „Ryt", grupę zestrojoną poważnym wysiłkiem i wysokim poziomem rezultatów. Przez czas dłuższy momentem wiążącym jest sugestja twórczości mistrza. Skoczylas przez swe studja w Lipsku zbliżył się był przedewszystkiem do drzeworytu. Tam też zdecydowanie wziął ton linearny. Wpływy niemieckie przetworzył siłą swej indywidualności na własny, najszczerszy wyraz. Niemniej drzeworytowi i linji pozostał wierny. Tem wytłumaczyć można przewagę robót drzeworytniczych nad metalami, charakterystyczną dla szkoły warszawskiej. Wręcz odwrotnie w Krakowie. Tam nadał ton prof. Pankiewicz. Czyż mógł świetny znawca i gorący wielbiciel sztuki francuskiej nadać ton o innym brzmieniu jak miękkim, subtelnym, paryskim? A więc zamiast linji — plama, zamiast zdecydowanej, przemyślanej konstrukcji, impresja, rzekłbyś czarująca zabawa, ale taka, która wymaga wielkiej umiejętności i jeszcze większego smaku Oczywiście drzewo okazuje się tutaj materjałem nazbyt surowym, za mało podatnym na wszystkie wyrafinowanie subtelne wymagania. A więc przeważają roboty na metalach nad drzeworytnictwem. I tak już, jeśli całokształt wysiłków w tych dwu centrach grafiki polskiej jaknajszerzej uogólnić, pozostaje do dziś. Tam Warszawa — Lipsk, tu Kraków — Paryż. Tego: Lipska i Paryża nie należy odczytywać fałszywie. Grafika polska usamodzielniła się już zupełnie. Zrekompensowała obce wpływy tyloma wartościami własnemi, że na wszystkich ekspozycjach obcych wyróżnia się zupełnie i bardzo dodatnio. Powiedziałem: dwa centra grafiki naszej „Kraków" „Warszawa". A Poznań?

Poznań jest nieco „poza" wymienionemi ogniskami, nie tak jednakże daleko aby się musiał wstydzić. Wręcz odwrotnie Poznań pracuje dobrze i nieustannie dorabia się swego własnego tonu. Podstawy ma znakomite. Zawdzięcza te fundamenty prof. *Wronieckiemu.* Wroniecki terminował u *Orlika*, przeto co bardzo ważne, nie w Lipsku a w Berlinie. Gdy w roku 1909 w Salonie Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, młody grafik wielkopolski pokazał po raz pierwszy swoje prace, zauważono, że charakteryzuje je zdecydowana stylizacja motywów realistycznych przy impresjonistycznej nieomal fakturze kreski. Zatem, skala możliwości twórczych szeroka i drogi otwarte do różnorodnych poszukiwań. Lata studjów w ojczyźnie ekspresjonizmu były nie bez wpływu na fakt przewagi wysiłków ekspresjonistycznych w pierwszej dojrzałej już fazie twórczej artysty. Był to zresztą ekspresjonizm sui generis. Kiedy w r.1917 *Jerzy Hulewicz* założył dwutygodnik „Zdrój" i wywiesił buntownicze sztandary ekspresjonizmu, okazało się niespodziewanie, że w Poznaniu tworzy pokaźna gromada grafików. Z licznej gromady niewielu tylko przeżyło krótki okres działalności „Zdroju". Wśród tych *Wroniecki i Szmaj.* Przetrwanie swe zawdzięczają swemu uczciwemu stosunkowi do praw graficzn. warsztatu. Gdy hasła ekspresjonistyczne przebrzmiały, zostały tylko te, które wsparte były na niewzruszonych zasadach rzemiosła.

Na tych zasadach oparł Wroniecki swoją metodę wychowawczą stosowaną do uczniów grafiki w Poznańskiej Szkole Zdobniczej. Uczył szacunku do rzemiosła i szacunku do własnej, chociażby najskromniejszej nuty twórczej.

Ostatni wzgląd powodował staranne izolowanie uczniów od własnych programów twórczych pedagoga — i rezygnację z satysfakcji tworzenia własnej szkoły. Wroniecki nie miał tej fałszywej zresztą ambicji. Nie chciał tworzyć *swojej* szkoły, tylko taką, któraby dawała młodemu artyście najszersze podstawy pod indywidualny gmach twórczy. Możemy, na wystawie współczesnej grafiki poznańskiej stwierdzić, do jakiego stopnia osięgnął prof.Wroniecki swój cel. Gdy dokładnie przestudjujemy plansze jego uczniów czy to będą prace *Małachowskiej, Taranczewskiego, Studzińskiej, Brzeskiego, Ozminowej, Eichlerowej, Idczaka, Czamana, Bogaczyka* czy *Konwerskiego*, u wszystkich, przy wysokim poziomie technicznym i przy całej różnorodności realizacyj artystycznych zauważyć możemy pewien, ledwo dostrzegalny ale istotny rys wspólny. Ten rys, to cecha charakterystyczna szkoły poznańskiej.

Obraz współczesnej grafiki poznańskiej byłby niekompletny, gdybyśmy nie dodali jeszcze kilka nazwisk artystów z terenu poznańskiego wprawdzie nie wyrosłych, ale z Poznaniem związanych latami twórczej pracy. Nazwiska *Roguskiego, Lama, Osseckiego, Bartla,* to firmy, które reprezentują znany, poważny dorobek plastyczny. Z pośród nich Ossecki (uczeń prof. Wojnarskiego) wypowiada się przedewszystkiem graficznie. Dalej Lam, którego drzeworyty z teki „Don Quijote'a" są rewelacją świadczącą, że Lam — grafik ma jeszcze dużo a może i więcej do powiedzenia niż Lam — malarz.

Nie możemy niestety zatrzymywać się dłużej nad każdą z wystawionych plansz. Zbyt mało mamy czasu. A szkoda, bo powiedziałyby nam niejedno i sumienne prace *Mondrala* i solidne akwaforty *Bocheńskiego,* poznalibyśmy zabytki całej nieomal Polski zachodniej, zanotowane drobiazgowo na litografjach *Gosienieckiego* a prace *Tatuli* przypomniałyby nam pierwsze wysiłki plastyków wczorajszego Poznania.

Ten „wczorajszy Poznań" przypominają nam jeszcze uparciej eksponaty grafiki, że się tak wyrażę „użytkowej". Zbiór exlibrisów jest i ubogi i bardo nieciekawy. Niewiele lepiej wygląda kolekcja plakatów. Ratują wprawdzie sytuację: Wroniecki, Roguski, Karpiński i Lipski ale całość wygląda bardziej niż skromnie. A przecież gdzieindziej plakat nasz osięgnął już był bardzo piękny poziom. Wykazały to, chociażby tylko sukcesy polskich grafików na ostatniej wrocławskiej wystawie afiszów.

Ale mimo wszystko, pomiędzy dzisiejszą wystawą grafiki poznańskiej a pomiędzy pierwocinami grafiki naszej „wczoraj", postęp zaznacza się poważny i usprawiedliwia daleko idący optymizm. Możemy spokojni o wartość naszego „jutra" pochylić się teraz nad leżącemi w ciszy, pod chłodną taflą szyb planszami, by wsłuchać się w głęboką wymowę ich form Trzeba się jednak skupić i wsłuchać bardzo uważnie, bo język czarnobiałej sztuki nie dla wszystkich jest zrozumiały, jak i nie wszyscy stworzoni są dla sztuki. Ale jeśli uda się nam odcyfrować wymowę tajemniczych znaków, wówczas — drobne ćwiartki papieru, pokryte siecią linij i plam zamienią się nam w światła rozjaśniające drogi nasze wotaczających nas zewsząd mrokach.

Marjan Turwid.

A. SZYPERSKI:

WAWRZYNIEC SUROWIECKI

Z cyklu: WYBITNI WIELKOPOLANIE

Wielkopolska stała się w XIX wieku ważnym ośrodkiem badań filologicznych w ogólności, zwłaszcza tak upadającej dziś filologji klasycznej, a szczególnie badań nad słowiańszczyzną w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Początki tego ruchu naukowego kojarzą się, jeśli pominiemy ogólnie w kulturze polskiej zasłużonych braci Jana (1756—1830) i Jędrzeja (1768—1838) Śniadeckich ze Żnina oraz literatów W. Bogusławskiego (1757—1829) z Glinna i Fr. Morawskiego

z Pudliszek (1783—1861), z dwoma przedewszystkiem nazwiskami: ks. Onufrego Kopczyńskiego z Czerniejewa (pomnik w parku Skórzewskich) zm. 1817 i Wawrzyńca Surowieckiego z pod Gniezna. Miejsce urodzenia ostatniego jest nieznane. Znamy jeno datę: 1769.

Zwracamy się tą drogą do księży proboszczów z okolic Gniezna, by w interesie nauki przejrzeli metryki parafjalne z tego roku, a napewno dane o Surowieckich i o naszym Wawrzyńcu znajdą. Prosimy wiadomości ogłosić lub je nam donieść. (Red.) Nazwisko Surowieckich pochodzi zapewne od miejscowości Surowe Drachowo pod Gnieznem, znanej już w XV wieku.

Wawrzyniec był młodszym bratem Karola, arcyciekawej dla badacza dzisiejszego postaci, księdza reformata, rektora szkoły Pakoskiej, fanatycznego wprost krytyka i polemisty teologicznego. Karol, autor dziwacznych pamfletów i broszur, który nawet w piekle nie dał spokoju Wolterowi, Rousseau'owi i masonom, urodził się także pod Gnieznem (miejscowość nieznana) w roku 1750. I to wartoby stwierdzić. Osobliwy to przecież człowiek i profesor. Umarł w Miedniewicach 20. kwietnia 1824. Skoro już o ks. Karolu mowa, dodajmy, że pisał swe cięte krytyki językiem grubym i sprośnym. Tytuły dawał arcyśmieszne np. Świstak warszawski wyświstany, Cygan z gandziarą, Phyton lipsko - warszawski djabeł. Drukował bezimiennie, a miejscowości wydania zmyślał np. Lwów, Berdyczów, Supraśl (zwykle bez daty). Okropności tych, wychodzących drukiem w Warszawie u księży misjonarzy publicznie nie sprzedawano. Były znane „prywatnie". Dziś są to ciekawe przyczynki do dziejów polemiki katolików z racjonalistami i ateistami. Ks. Karol walczył jak umiał, z zapałem i dosadnie. Wiedzę posiadał szeroką. W bibljotece Kórnickiej znalazłem jedną tylko jego broszurę, wydaną „w Berdyczowie"!

Otóż nie o niego tu chodzi, lecz o brata Wawrzyńca. Ten w dzisiejszej perspektywie wydaje nam się znacznie skromniejszy, w sposobach pracy, nie w jej jakości i rozległości. Środki i warunki posiadał bardzo skromne. Niezamożni rodzice nic mu dać nie mogli. Był nauczycielem domowym u Sczanieckich. Przez nich poznał trochę świata. Widzimy go też trzy lata w seminarjum duchownem, które opuścił dla zdrowia. W roku 1807 zostaje członkiem warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk. W r. 1812 jest sekretarzem generalnym w ministerstwie oświaty. Coraz to inne, wysokie godności piastuje w Warszawie. Umiera tamże w r. 1827.

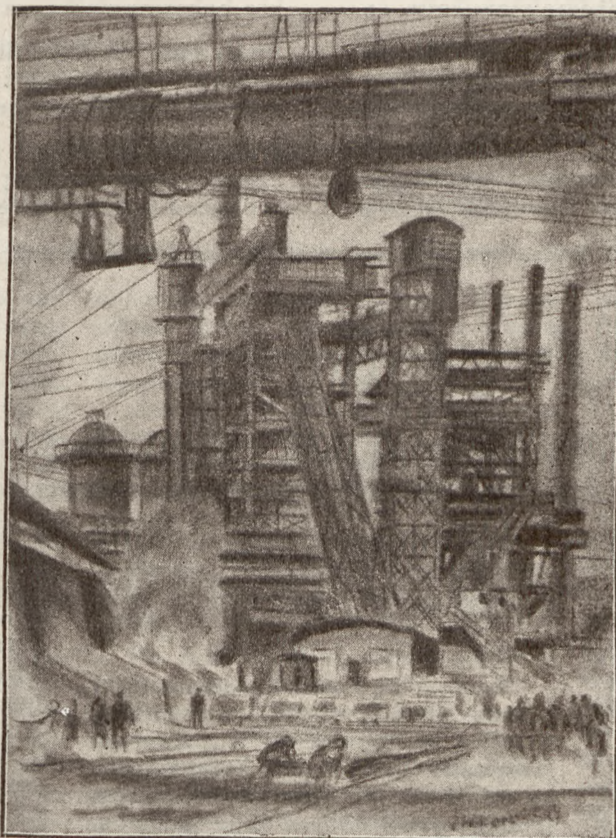
Uczciwą drogą dorobił się majątku, z którego 36 000 złotych zapisał na stypendja dla biednej młodzieży byłego uniwersytetu warszawskiego. Był czynny na polu społecznem i naukowem. Pisał o wychowaniu młodzieży i o kwestji chłopskiej. Specjalność jego stanowiły badania dziejów słowiańszczyzny. Znane są jego prace jak: O upadku przemysłu i miast w Polsce, O rzekach i spławach, O wadach wychowania młodzieży, Śledzenie początków narodów słowiańskich (Warsz. 1820). Ostatnia praca została przełożona na język rosyjski.

Surowiecki jest pierwszym naukowym badaczem przedchrześcijańskich czasów słowiańczyzny. Po jego śmierci nastanie okres świetnego rozwoju zainteresowań słowiańskich. Będzie się badać historję, etnografję, języki i literatury.

W roku 1802 urodzi się w Dusinie historyk J. Moraczewski, w roku 1819 w Polwicy R. Berwiński, w roku 1815 w Ławkach pod Gnieznem Hipolit Cegielski, w Międzyrzeczu bracia Stanisław (r. 1820) i Zygmunt (r. 1824) Węclewscy, w roku 1821 w Obiezierzu Antoni Małecki, w roku 1823 w Gałęzewie Józef Przyborowski, w roku 1830 w Kłecku pod Gnieznem Władysław Nehring, w roku 1836 we Wrześni Likowski, dalej należą tu Ptaszyński St., Szulc Kazimierz, Lekszycki, ks. Malinowski, Morawski K., Cybulski, Ćwikliński, Kasprowicz, Erzepki i ks. Stanisław Kozierowski. Slawiści w ściślejszem znaczeniu to Kopczyński, Malinowski, Surowiecki, Cybulski, Cegielski, Małecki, Przyborowski, Nehring, Ptaszyński, Szulc, Erzepki i Kozierowski. Specjalnie językiem zajmowali się ks. Kopczyński i ks. Franciszek Malinowski, Cegielski, Cybulski, Małecki, Przyborowski, Nehring i Erzepki. Z tych najsławniejszymi — profesorami uniwersytetów — byli Cybulski, Małecki, Przyborowski i Nehring.

Zwraca uwagę, że najbliższe okolice Gniezna wydały kilku wybitnych filologów słowiańskich: Surowieckiego, Cegielskiego, Nehringa i ks. Kozierowskiego (ur. 1874 w Trzemesznie).

Niektóre z powyższych nazwisk jak ks. arcybisk. Edw. Likowskiego, Wojciecha Cybulskiego, Bolesława Erzepkiego i ks. St. Kozierowskiego są ściśle związane z chlubną działalnością poznańskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, założ. w r. 1857. — Jeśli nie wszyscy z wymienionych działaczy i uczonych pochodzili wprost z Wielkopolski, to w każdym razie pracowali oni tu i byli ważnymi motorami ruchu słowiańskiego, jaki się na tej ziemi w XIX w. rozwinął. Dość wymienić slawistę K. Szulca, prof. poznańsk., pochodzącego z Pomorza.



Z Wystawy Współczesnej Grafiki Poznańskiej
Jan Wroniecki — Litografja

Z cyklu:

MYŚLI O ZMIERZCHU

Iść drogą, której niezna nikt —
położyć ręce na chłodnem tle nieba,
zrozumieć
do szczęścia tyle tylko trzeba:

: ciche, niegwarne łąk poszumy
dalekie od ludzkich krzywd
i zapomnienie przebaczeń
kryjomych
i oczy jasne, niezamącone
przez wstyd. — —

— — — — — — — — — — — —

Barbara Marcinkowska.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

KRAJ WIELKICH DOLIN

Tetmajer śpiewał Tatry, Orkan Gorce, Beskid
i Czartak — Zegadłowicz, Śląsk Morcinek, Wilno
Hulewicz, Bunikiewicz Płockie — Drugim pilno
z Zaruskim płynąć na nurt Bałtyku niebieski.

Inni wołają co Łódź, co Warszawę boli,
jak Białoruś w snach wraca, lub jak jest nad Dniestrem,
jak Wisła, Łysa Góra jodeł drży szelestem:
ja nieodmiennie wracam tu, w Kraj Wielkich Dolin.

Lubię te szosy, dwory, traktory i dworce,
gospodarstwa jak w Danji, ogrody jak w Haarlem.
Ledwie oczy zamknąłem, zmysł ducha otwarłem,

w wydorze tym Prawisłę widzę i lodowce,
pierwszą osadę, pierwsze twarze, szczep w wędrówce
i całą przeszłość Polski — pierwsze Polan hufce.

PIASTOWIE

Szorstcy Skandynawowie, po długich rozbojach,
drogach do Miklaugardu, do Polan i Dniepru,
sercem zaprzysiężeni władaniu i srebru,
nad Gopłem władztwo wsparli na Wikingów zbrojach.

Rozmach żaglowców i walk morskich huczał w pędzie,
którym siodło za siodłem zagarniali w państwo.
Kto niedołężny, w sługi szedł ich i poddaństwo,
kto bohaterski, stawał w wojowników rzędzie.

Puszcz pionierami byli i nie znali zasad
prócz jednej: ziemi jaknajwięcej wziąć w swe władztwo,
zagarnąć miedź i srebro i wszelkie bogactwo,

przeciwnika, by brata nawet, zgładzić krwawo,
cieszyć serce kobiety, winem i obławą,
królować jak lew, orzeł, w grodach i po lasach.

MARJAN PATECKI:

„WSPOMINKI ŻYCIOWE"

Arcypasterz — na banicję! Wzburzenie umysłów. Ostrzeszowianie przygotowują manifestację. Niezapomniana noc. Ostatnie pożegnanie. Protest bezsilnych.

Słowa te wypowiedziane tonem, pełnym bezmiernego smutku, oddziaływały piorunująco na zebranych. W jednym momencie zawisły w największym niepokoju oczy zebranych na ustach zacnego kapłana, wyczekując niecierpliwie dalszych wyjaśnień. Ale ksiądz jakoś nie spieszył się z wyjaśnieniami. Minęła dość długa chwila zupełnej ciszy, którą wreszcie babka moja przerwała, nie mogąc widocznie dłużej panować nad sobą: Na miłość Boską, jegomość, proszę mówić dalej. Co się właściwie stało?

Zamiast odpowiedzi podnosi się jegomość z miejsca, bierze krzesło przed siebie, opiera ramiona na poręczy krzesła i pochyla się naprzód. Widać, że jakiś niewidoczny ciężar, gniotąc mu barki, tłoczy go ku ziemi. Spojrzał wreszcie przelotnie nam wszystkim w oczy i tak mówić począł:

Pyta się pani, co się stało. Otóż stało się coś bardzo niedobrego. Rozwój wypadków w Ostrowie potoczył się po takiej linji, że nietylko my, nietylko nasza archidjecezja gnieźnieńsko - poznańska, nietylko cały nieszczęśliwy naród polski, ale nawet cały kościół katolicki, od najwyższej swej głowy, papieża, począwszy do ostatniego nowonawróconego gdzieś tam w zapadłych kątach świata, został w najsromotniejszy, najbezecniejszy sposób ugodzony,sponiewierany,sprowokowany.

I ksiądz umilkł znowu. Na skutek jego złowróżbnych słów przerażenie targnęło zebranymi, znieruchomieli. Ciężka chmura najrozmaitszych przypuszczeń zawisła nad głowami. Wreszcie jegomość, pochyliwszy się jeszcze niżej nad stołem, jął mówić dalej:

Pytacie się Państwo, co się stało. Przed chwilą właśnie otrzymałem poufną wiadomość, że wczoraj rano zażądano ustnie, od arcypasterza, aby dobrowolnie zrezygnował ze swej godności i aby dobrowolnie opuścił na zawsze granice swej djecezji. Wolno mu zamieszkać w granicach Prus gdziekolwiek zechce z wyjątkiem naszej djecezji, oraz djecezji chełmińskiej i wrocławskiej. Arcypasterz oparł się temu stanowczo, oświadczając, że owieczek swych za nic w świecie nie opuści, gdyż opieka nad niemi została mu poruczona przez namiestnika Chrystusa Pana. Koło południa nadeszło drogą telegraficzną wprost z Berlina rozporządzenie, mocą którego wydalono arcypasterza przemocą z granic djecezji i z granic Prus. Jeżeliby się odważył wrócić pomimo to, to czeka go bezterminowe więzienie w twierdzy Targowie.

Na to wuj Jan, jako człowiek z natury popędliwy, choć gołębiego na wskroś serca, zawołał: Ha, banitą go zrobili, te psia-wiary lutry, krzywoprzysiężniki, ci tacy i owacy.

I byłby jeszcze dalej pomstował, ale ksiądz, nie zważając na przerywkę, mówił dalej: Pytanie teraz, co się stanie jutro. Kaźń więzienna jutro się kończy i na mocy wyroku zwolnienie nastąpić musi. Nie wiemy tylko, o którym czasie. Prusacy przez swoich szpiegów są zapewne doskonale poinformowani o poczynionych z naszej strony przygotowaniach. Nigdy w życiu nie dopuszczą do urządzenia choćby i najskromniejszej owacji. A tymczasem, jak słyszę, już dzisiaj sporo ludzi zebrało się w Ostrowie. Przybyli już nawet pociągami z daleka, z Krakowa, ze Lwowa, z Kongresówki. Żeby to wiedzieć, co będzie jutro! Jest pozatem inne jeszcze rozporządzenie, że naszego Arcypasterza mają wpierw zawieźć do Berlina a zaraz potem wprost do granicy. Poco ma jechać do Berlina, nie wiadomo. Jeżeli powiozą go pociągiem przez Poznań, to może to dopiero nastąpić o godzinie 9-tej pociągiem, przechodzącym przez Ostrzeszów rano o godz. 8. Wobec tego, co w międzyczasie zaszło, a o czem Państwa cotylko poinformowałem, mogłaby się w czasie takiej podróży wytworzyć sytuacja taka, któraby i dla samego arcypasterza nie była przyjemną, nietylko w Ostrowie, ale co gorsza w samym Poznaniu. Jak wiem, wzburzenie umysłów w Ostrowie jest wielkie i z każdą chwilą rośnie żywiołowo w siłę.

W tej chwili podniósł ksiądz głowę i rzucił wzrokiem w stronę wuja Jana. Ten zaś krzyknął: Powinno być, jegomość kochany, rozpalone do białości. Te psia-wiary arcypieski, heretniki, antychrystniki.

Czy to na skutek zmęczenia, czy z innej jakiej przyczyny siadł teraz ksiądz na krześle naprzeciw nas

CHROBRY

Dziejopisy, poeci, gdy o Chrobrym mowa,
o słupach się rozwodzą, które bito w rzekach;
słuchają — słyszą pono — jak miecz w bramę szczęka —
potem: bitwy z Niemcami i — postać gotowa —

Mnie on ciekawi bardziej swojem człowieczeństwem:
jakie ambicje żywił, jakie miał przygody,
jak urastał na wodza, jakim był, gdy młody,
jak pogardzał takimi ludźmi jak brat Bezprym.

W Skandynawczyku tym jak u Beowulfie z sagi
zamieszkała przebiegłość obok lwiej odwagi,
krotochwila z szorstkością, duma i jowialność.

Cały ród Piastów w nim się jak w zarodku przeżył,
Śmiały i Krzywousty, Łoktek przy Kaźmierzu —
obcą mu tylko była ich słabość, fatalność.

SYGRYDA STORRADA

Piastówna z lednickiego ostrowu przynętą
stała się Erykowi, swijskiemu Konundze,
przygasłe, starcze jego podniecała żądze,
szepcąc, ażeby z Danją walkę wiódł zaczętą

przez ojca jej, władykę Mieszka. Danję
podbito więc, Norwegję pod stopy rzucono,
trzech władców po kolei stawała się żoną,
aż zakwitnęła synem który zdobył Anglję.

W śpiew jej imienia uderzały wiosła,
kiedy flota Kanuta płynęła po fali,
skaldowie o niej pieśni na ucztach śpiewali,

blasku dodawał Chrobry, co bój wiódł nad Wartą.
Wyniosłość, dumę wszyscy znali jej upartą,
ulegali jej, zwali: Storrada — Wyniosła.

---

i powiódł wzrokiem wokoło po nas wszystkich. Zatrzymał się najdłużej, jak mi się zdawało, na mej znikomości, a trwało to tak długą chwilę, że pod wpływem tego wzroku byłem niemało zmieszany. Pomimo to tem silniej napiąłem mą uwagę, aby nie uronić nic z tego, co mówiono.

Ksiądz zaś mówił dalej: Można się więc liczyć z tem, że arcypasterza nie powiozą przez Poznań i podróż pójdzie inną drogą, a mianowicie przez Wrocław i to pociągiem, odchodzącym z Ostrowa o g. 5 rano a przychodzącym do Ostrzeszowa około godz. 6. Co myślicie Państwo, gdybyśmy, biorąc tą drugą ewentualność w rachubę, stawili się rychło rano na stacji i wrazie czego złożyli naszemu arcypasterzowi kardynałowi i prymasowi rozdartej na trzy części Ojczyzny naszej, naszą najgłębszą cześć. Gdyby go zaś nie miało być w pociągu, to, jak wiemy, mamy jeszcze dość czasu, aby na ostatną chwilę dotrzeć do Ostrowa i tam choćby tylko uzyskać z jego dostojnych rąk błogosławieństwo apostolskie.

Na pytanie to nie było odpowiedzi. Towarzystwo, pogrążone w smutnych rozmyślaniach, nie reagowało zrazu na propozycję szanownego kapłana. Chwila milczenia przeciągała się. Przerwał ją wreszcie sam ksiądz: Sądzę, że tak byłoby najlepiej. Tu w Ostrzeszowie na wszelki wypadek się przygotować, w przeciwnym zaś razie pojedziemy razem do Ostrowa. Zgoda?

Już słychać było przytakiwanie ze wszystkich stron, gdy wtem wuj Jan znowu zabrał głos: Dobrze księdzu mówić, przygotować się. Gdzie czas po temu, przecie to już godzina 8 wieczorem! Czy tylko my sami mamy stawić się na dworcu? Nasza garstka? w takiej chwili i w obec takiej dostojności? Wobec takiego męczennika za wiarę świętą, którego ofiara równa się nieomal z ofiarą pierwszych męczenników, pierwszych wyznawców?

Zapalał się wuj coraz więcej, ale ksiądz, wstawszy znowu z krzesła, tak powiedział: Ma pan zupełną rację. Skromna nasza liczba nie odpowiadałaby wielkości chwili. A co do czasu, to mamy jeszcze 10 godzin do dyspozycji, w których można bardzo dużo zrobić. Biorę to wszystko na siebie.

Po tych słowach wielce ceniony kapłan wyszedł.

O czem w towarzystwie jeszcze mówiono, nie wiem. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, a przeżywałem chwile bardzo ciężkie. Zanosiło się bowiem na to, że będę musiał cichutko leżeć pod gęsią, gdy wszyscy inni przyjmować będą wysokiego dostojnika, o którego właściwem dostojeństwie nie posiadałem należytego wyobrażenia. W tem naprawdę wielkiem zaniepokojeniu przyświecała mi jednak jasna gwiazda nadziei a była nią moja nad wszystko ukochana babka. Pocieszałem się, że jeśli kto, to babka moja nie odmówi prośbie swego wnuka. Ilekroć zwracałem się z jaką sprawą do niej, nie zawiodłem się nigdy. Może więc i teraz.

Wróciwszy późnym wieczorem do domu, nuże prosić i błagać i zapierać się, aby nazajutrz rano wzięła mnie babka ze sobą. Rozczarowanie wielkie, bo ani o tem słyszeć chciała, to to, to owo. Wreszcie ku mej bezmiernej radości uległa, za co przyobiecałem odpłacić się jej tem większą miłością.

Czy nocy tej zmrużyłem oko, nie wiem. Przypominam sobie tylko, jak, trzymając ukochaną babkę silnie za rękę, dążyłem w nocy jeszcze ku dworcowi. Małe światełko oświetlało drogę. Wiatr silny a mroźny dął ze wschodu, szczypiąc w twarz i uszy. Przymrozek. Po obu stronach drogi, wówczas jeszcze niezabudowanej, ścieliły się pola. W bliższych i dalszych odstępach przed nami i za nami migocą także światełka. To ludzie, dążący w tym samym celu i kierunku, co i my. Zaprawdę, obraz niezapomniany, który się wżarł nieprzepartą siłą w umysł na całe życie. Tak zdążali zapewne w cieniach nocy pierwsi chrześcijanie poza Rzym do katakumb na Via Appia i gdzieindziej na nabożeństwa. W taki czas przedzierali się także przez gęstwy leśne srodze prześladowani unici na Podlasiu, wierni wierze swych ojców. Drogowskazem jednych i drugich było gorące przywiązanie do umiłowanej nauki Chrystusowej. I nasza wędrówka nocna z tego samego wypływała źródła.

Przybywszy na stację, zastaliśmy już dużo ludzi. Stały nawet już wozy, na których oczywiście przybył lud wioskowy. Jedynem szczęściem ks. Szenic przyszedł za nami, ludzie usuwali się przed nim, a babka moja szła ze mną za nim. Dostaliśmy się tak na samo czoło. Nie trwało długo, gdy zajechał pociąg. Wyskakuje z jednego wagonu żandarm pruski, opasły, butny i pewny siebie, jak zawsze. Inny stał w pikielhaubie przy jednem z okien wagonu, trzeci przechodził się przed pociągiem. Zebrana zgraja żandarmska wskazywała, że coś jest w biegu. Jakoż wkrótce ludzie klękają. Co się stało? W jednem z okien wagonu stoi postać wysoka, blada, z siwym już włosem, pełna dobroci, namaszczenia i powagi apostolskiej. Wznosi właśnie prawą rękę przed sobą, jak gdyby nam błogosławiła. To J. E. ksiądz kardynał Mieczysław Ledóchowski. Może być, że w tej właśnie chwili, w której gom zoczył, miał na ustach słowa: Niechaj was Bóg błogosławi,

BARBARA MARCINKOWSKA:

NAD JEZIOREM POWIDZKIEM

Wiatr zagubiony w parku — rozwiewa wspomnień ciszę,
drgają fale jeziora szybkiem nieba spojrzeniem,
na skrzydłach zawieszony w błękitach się kołysze
jastrząb — — śledzący z lotu rozległych wód przestrzenie.

Z podszycia niskich krzewów wybiegł zziajany wyżeł,
spogląda wkrąg na cichą pogodę i tęsknotę,
chciałby wypatrzeć kaczki w sitowiu, w słabym wirze,
namulonym lenistwem pod słonecznym namiotem.

Myśli są takie proste — łamią się taktem fali,
rosną trzciną chwiejącą, słowami — których niema;
nie wolno się poruszać, nie trzeba szeptać wcale,
nawet tęsknić nie można na określony temat.

Trzeba patrzeć na niebo spokojnie i bez pragnień,
położyć ciepłe ręce na brzegu kostropatym.
Może nadejdzie wtenczas (— któż właściwie odgadnie? —)
zapomnienie o wszystkich rozżaleniach szkarłatnych...

---

moje kochane dzieci. Chylą się głowy. Uroczystą ciszę przerywa łkanie, szloch, płacz, jakieś szepty dochodzą mych uszu. W tem pociąg ruszył. Ktoś zaintonował! Kto się w opiekę. Nie podchwycił pieśni tłum, zamarła śpiewakowi na ustach. A tymczasem pociąg przebiegł już szosę grabowską i jął się nużać w zakręcie dalszej drogi. Tylem widział wielkiego dostojnika, wyznawcę, męczennika. Nie wiedziałem nic jeszcze o tem, jak silnie stał na straży praw kościoła, jak nieustraszenie bronił dobra swych owieczek, jak zasądzony został na dwuletnią kaźń więzienną. Nie wiedziałem nadto i nikt z obecnych tego wiedzieć nie mógł, że to było ostatnie pożegnanie wielkiego arcypasterza nietylko ze swemi owieczkami, ale także i z ludem polskim i Ojczyzną. Nie wrócił już nigdy.

Z dworca kolejowego udaliśmy się do kościoła, gdzie nasamprzód rozbrzmiała antyfona: „Pod Twoją obronę". Potężne akordy melodji wzruszyły całą głębią uczucia. Już nie istoty z ciała i kości, ale dusze, wyzwolone ze swej ziemskiej powłoki, a złamane żałością i bólem serdecznym, wzniosły się hen przed tron niebieski, aby bezpośrednio u stóp N. Panny błagać i prosić o ratunek, pomoc, opiekę. Gdy zaś rozległy się słowa: — nie racz gardzić w potrzebach naszych — i potem: — O, Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza —, wezbrała nagle fala uczucia i płacz ogólny buchnął w kościele.

Na inny protest wobec okrutnego ciemięzcy nie mógł sobie wówczas pozwolić bezbronny naród.

Wybijają serca spiżowe w starodawnej dzwonicy drewnianej ostatnie słowa pożegnania swemu arcypasterzowi. Ich głos poważny płynie w ciszy porannej daleko na całą kotlinę ostrzeszowską.

Chwilami miarowy takt rozkołysanych dzwonów plącze się. Głosy rwią się silniej, żywiej idzie tempo, akordy stawają się weselsze. Cóż to? Nikt wówczas nie przeczuwał, że była to zapowiedź lepszych czasów, które już parły niepowstrzymanie naprzód. Na nic się zdały wszelkie zakusy wroga, na nic czterdziestoletnia gehenna, przez którą przechodzić jeszcze musiał zabór pruski, wszystkie okrutne prześladowania i udręki, wszystko, co miało przyspieszyć naszą zagładę. Wszystkie zakusy zapalczywego niemca odwróciły się z woli niebios na nice. Pod wpływem coraz to groźniejszych razów, wymierzanych w naszą stronę, budzi się naród z letargu, uświadamia sobie, kim jest, krzepnie, zmacnia się, zajmuje wreszcie przy wierze i mowie ojców tak silną i wytrwałą pozycję, że go już żadne moce piekielne zmóc nie mogły

Należy jednak z niemałym żalem stwierdzić, że zwycięstwo nasze w tej nierównej walce okupione zostało na pewnym odcinku życia narodowego poważnemi stratami, dotąd jeszcze nie powetowanemi, jak o tem zaraz się przekonamy.

Ciąg dalszy nastąpi.

LISTY Z REGJONÓW

Z POZNANIA

Mimo krótkiego, dwutygodniowego okresu od ostatniej „Kroniki", jest do zanotowania w uwadze czytelnika kilka nowych wydarzeń. Prócz wystaw, o których podaliśmy już krótkie wiadomości (jednej z nich, mianowicie wystawie Współczesnej grafiki poznańskiej, dużo miejsca w obecnym numerze „Wici" poświęca red. nacz. M. Turwid), praca wre również w teatrach. Mimo kanikuły, teatrów się w tym roku nie zamyka, trudno bowiem dziś zrezygnować z dwumiesięcznego, choćby miernego dochodu. Kanikuła wpływa jednak na dobór repertuaru; jest on zupełnie letni.

Spotykamy się, szczególnie w obecnym okresie poprzedzającym nowy sezon teatralny, z różnemi cyframi statystycznemi, przedstawiającemi rzekomo teatry poznańskie w jak najlepszym świetle. Autorzy statystyk, idący drogą najmniejszego oporu podają liczbę polskich sztuk i sztuczek, w porównaniu z zagranicznemi sztukami i sztuczydłami i są zadowoleni spostrzegłszy wyższość pierwszych. Nam te liczby nic nie mówią, przynajmniej nic coby mogło wywrzeć jakieś wrażenie. Trzebaby przedewszystkiem mówić o obsadzie każdej sztuki, i pouczającem byłoby stwierdzić co powinno się było wystawić a czego się nie wystawiło.

Pomińmy Teatr Narodowy dobrze prowadzony, nastawiony jednak na szeroki zbyt w najszerszych masach, pomińmy dalej operetkę i wogóle teatr śpiewany, jako rekonwalescenta po bardzo przykrej operacji albo wprost, modnej dziś, napaści, pomińmy wreszcie Teatr Letni jako noworodka jeszcze i to słabowitego, a zostanie nam wówczas Teatr Polski i T. Nowy, bo one tylko mogą wchodzić w rachubę gdy mowa jest o teatrach (— całą gębą) z kończącego się sezonu, w Poznaniu. Mimo wszystko, t. zn. mimo zewnętrznych pozorów jak: sala, tradycja, obijające się tu i tam przekonania, Teatr Polski został zdystansowany przez Teatr Nowy. Tajemnica leży prawdopodobnie w kancelarjach dyrektorskich tychże teatrów. W Teatrze Nowym czuć energiczną rękę ale i pomysłową i otwartą głowę. Tam najwięcej widzieliśmy głośnych skądinąd nowości, tam oglądaliśmy, jakże często Junoszę-Stępowskiego, Węgierkę, Przybyłko-Potocką, że tylko tych asów wspomnę.

Teatr Polski miał wprawdzie kilka prapremjer (Rostworowski, Marynowski, Siedlecki, i Fijałkowski i Dunin-Markiewicz), grał Szekspira, grał Fredrę, grał i polskich sztuk dużo, nawet nieprzeciętnych, choć współczesnych (Hertza „Młody las"); mało było jednak takich bez zarzutu: albo obsada zła, albo reżyserja kulawa, albo nawet gra ni przypiął ni przyłatał. Gościnnych występów mało, przynajmniej zimą, czyli w porze największej frekwencji w teatrach (jedynie Zelwerowicz, niezrównany). Dużo zato zagranicznych sztuczek, dobrych do czwartorzędnego „kinomatografu" na peryferji, ale nie do reprezentacyjnego Hulla di Bulla (za pisownię nie ręczę), przepraszam, teatru. Jeżeli sięgamy do zagranicznego repertuaru, sięgnijmy do takiego, który nas nauczy czegoś. Jeżeli natomiast teatr ma ambicje konkurować, w doborze kołomyjek z kinami, to go lepiej zmechanizujmy.

Z troską patrzymy na zbliżający się sezon. Po jakiej linji pójdą teatry, czy po linji dalszej ruiny frekwencji, czy odbudowy. Postawię dwa ważne postulaty: odpowiedni dobór aktorów stałych, pozatem udzielanie gościny wybitnym artystom z innych ośrodków (chcemy widzieć na nowo Solskiego, chcemy Jaracza i innych), pozatem kwestja repertuarowa. Jeżeli chodzi o zagraniczne sztuki, chcemy rewelacji a nie rebeljacji.

— — — — — — — — — — — —

Vivat krakauery! Uczą jeszcze niektórzy o feniksach, które się z popiołu odradzają; niewątpliwie mitologja. Faktem autentycznym natomiast i współczesnym nam jest zdarzenie, kiedy pewne pismo literackie, o którem niżej, odradza się z własnych długów. Historja krótka: Dwutygodnik Literacki, który przez kilka dwatygodnie i dwa-miesiące wychodził w Szamotułach, w Poznaniu i Krakowie, odrodził się ostatnio, jako Literacki Dwutygodnik w Krakowie. Teraz już podobno na stałe. No a jeżeli znów długi? To odrodzi się „u Lwowi" z ponownie zmienioną nazwą. O roli jego nieraz już pisaliśmy, nie będziemy więc powtarzali. Odszedł spotkawszy się z niewdzięcznością, nawet z represjami (tak pisze we wstępnym artykule numeru p. n. Vivat Poznańczanie!). Wypłynął jednak na nowo. Poza bladym artykułem wstępnym redaktora, i poza drugim artykułem niepodpisanym, prawdopodobnie znowu redaktora (naprowadza nas na to stanisławo - witoldo - balicki styl), artykuł Jana Wiktora, powieściopisarza, bywalca paryskich zaułków, który się tutaj zagnał w zaułki plastyki, bez wyjścia. Drugi artykuł poświęcony jest nietyle sprawie „rozłamu" w Związku Literatów Krakowskich (jak głosi jego tytuł) ile kornemu wybijaniu pokłonów hołdowniczych przed koncernem Ilustr. Kurj. Codz. w celach niedwuznacznie kokieteryjnych.

Wróćmy do artykułu wstępnego. Naprzód zebrane indywidualne wypadki, dla mnie obojętne czy prawdziwe, mające świadczyć o niskiej kulturze Wielkopolski („czysta" metoda podobna jak u Boy'a). Dalej autoreklama, z której się dowiadujemy wielu szczegółów (choć z pewnością nie wszystkich niestety) o osobie autora. Był w każdym razie tym śmiałkiem, który odważył się u nas z rycerskością średniowiecznego „Raubritter'a" szerzyć kulturę. Dalej kompletne pognębienie kilku imiennie wymienionych osób, które znowu ośmieliły się nie uznać odwagi stanisławo-witoldo-balickiej i zapowiedź wysokiego patronatu tego pana nad „Wiciami". Wkońcu rachunek sumienia: około 3000 zł długu. Artykuł pisany z woronową werwą.

Konkluzja: Więcej już się chyba w listach z Poznania nie ujrzymy; zresztą: powodzenia... Gazecie Literackiej.

Janusz Deresiewicz.

Z JAROCINA

Niesłychanie dumnem miastem jest Jarocin. Są tego cztery powody, nie wiem tylko czy słuszne: 1) układ borów i ulicy Dworcowej jak w Poznaniu, 2) ważny węzeł kolejowy, 3) Sukiennice na rynku (na piętrze magistrat), 4) niedawne połknięcie powiatu pleszewskiego. Z drugiej strony mamy pewne zakłopotanie, bowiem Min. W. R. i O. P., w myśl reformy szkolnictwa, zamyka żeńską szkołę wydziałową, na gimnazjum koedukacyjne zaś, jak dotąd, nie zgodziło się.

Trzecią cechą dzisiejszego Jarocina jest „feminizm". Otóż każdego przybysza uderza przewaga kobiet na ulicy i wogóle wszędzie. Czy mężczyźni są tak bardzo pod pantoflami? Zdaje się, że tak, bo o Kole Akademików nic nie słychać. Niezwykłą pomysłowością natomiast odznacza się magistrat. Mamy bowiem ulicę, na której po jednej stronie wisi tabliczka z napisem „Ul. Wąska", a naprzeciwko „Ul. Wązka". Kto nie wierzy, niech przyjedzie...

Miasto rośnie w tempie amerykańskiem, szkoda tylko, że trochę bezplanowo.

Ciosem jest zwinięcie podchorążówki; co przyjdzie na jej miejsce (budynki są pierwszorzędne), na razie niewiadomo. Prawdziwą dumą Jarocinian jest niewykończony jeszcze kościół katolicki, jeden z największych w Polsce. Styl jest zupełnie nowoczesny[1]). „Gazeta Jarocińska" zajmuje się sporami politycznemi, a o sprawach kulturalnych prawie nie pamięta. Wogóle kultura leży odłogiem.

J. Dost.

[1]) O wartościach architektonicznych nowego kościoła w Jarocinie pomówimy obszerniej w dalszych zeszytach „Wici". Tu zaznaczamy tylko, że mamy co do tych wartości duże zastrzeżenia. Red.

Z WRZEŚNI

Wśród licznych (może nawet zbyt licznych) towarzystw i organizacyj w mieście, Towarzystwo szerzenia kultury i sztuki jest jedynem zrzeszeniem powołanem do życia celem kultywowania sztuk pięknych. Wprawdzie, nieomal wszystkie inne zrzeszenia, występując na zewnątrz organizują wieczory, przedstawienia i t. p., zawsze jednak, imprezy te są tylko środkiem a nie celem. Dobrze więc jest, że istnieje w mieście placówka, która dba przedewszystkiem o poziom swych wystąpień i stanowi tem samem dobre i potrzebne kryterjum dla wszystkich innych wysiłków. Wprawdzie powołanie do życia Tow. Kult. i Sztuki (przed rokiem) powitały niektóre organizacje jako niepotrzebną konkurencję, ale — — nieinteligentne opinje nie wchodzą w rachubę, a, powtarzamy, dobrze jest, że nowa organizacja zmusza dawniejsze do czegoś więcej, jak tylko do wzajemnej adoracji i organizowania zabaw.

Nie chcemy być fałszywie zrozumiani. Na terenie kulturalnej Wrześni istnieją placówki, które mają poważne zasługi w swoim wieloletnim dorobku (zajmiemy się niemi niebawem). Nie wątpimy, że kierownicy takich organizacyj, zrozumieją właściwie potrzebę istnienia zrzeszenia, które może i powinno, w każdym wypadku kulturalnym służyć radą i pomocą.

Przebieg ostatniego walnego zebrania Tow. szerz. Kult. i Sztuki pozwala przypuszczać, że towarzystwo coraz sprężyściej i rozumniej konkretyzować będzie swoje piękne cele.

Zarząd Towarzystwa (z pp. profesorem Fabianem i ks. Staszakiem na czele) przygotowuje obecnie z całym pietyzmem na dzień 20. VII. „Wieczór Autorski Dr. Stan. Helsztyńskiego".

Na uwagę zasługuje ciekawy fakt. Tow. niema dotąd pełnego statutu. Dzieje się tak celowo. Organizatorzy Towarzystwa nakreśliwszy pewnego rodzaju statut „eksperymentalny" pragną przekonać się wpierw o jego wartości praktycznej, zanim nadadzą mu uchwałą charakter trwały. Rzecz dlatego zasługuje na uwagę, że Wrzesińska organizacja ma charakter zupełnie „oryginalny" a obliczona na wymogi lokalne, może w przyszłości stać się przykładem dla zrzeszeń podobnych, organizowanych na podobnych Wrześni terenach.

— — — — — — — — — — —

P. Jan Szymański, współpracownik „Wici Wielkop." przygotował cały cykl wykładów poświęconych sprawom cywilizacji i kultury polskiej a przeznaczonych dla młodzieży. Wartość takiego cyklu przewyższa znacznie pojedyńcze i zazwyczaj przypadkowe wykłady. Prelekcje swe wygłasza p. Szymański w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej. T.

Z KOŹMINA

Miasto Górków, Sapiehów, Przyjemskich, istniejące od zarania naszej państwowości, jako warowny gród zachodni leży nad rzeką Orlą, wijącą się wśród pasma niskich łąk. Od południa tonie w zieleni ogrodów i sadów, ponad któremi wystrzelają smukłe wieże: zamku, kościoła parafjalnego, a w głębi klasztoru pobernardyńskiego. Ulice miasta czyste, choć szerokością zbyt nie grzeszą. Kanalizacja „głównych ulic" przyczynia się w pewnej mierze do zdrowotności i higjeny.

Wewnątrz wiele ciekawych zabytków sztuki. Zamek Koźmiński, największy i najstarszy gmach miasta, pochodzący z XIV i XVI w.; kościół parafjalny, świeżo odnowiony, z grupą Wniebowzięcia N. M. P., dłóta Wita Stwosza, w wielkim ołtarzu. Dalej cenne stale, rzeźba nagrobka Górków, wmurowana w boczną ścianę kościoła i w podziemiach nieruszona od przeszło dwu wieków trumna Aleksandra Przyjemskiego, wokół którego życia krąży wiele podań. Wartoby je zebrać! Poza miastem znajduje się kościółek św. Ducha, cały z drzewa, kryty gontami, pochodzi z XVII wieku.

Życie kulturalno - umysłowe z roku na rok zamiera. I nie dziw! Przed dwoma laty zamknięto gimnazjum. W b. r. aż dwa ciosy się zwaliły: zniesiono powiat koźmiński i seminarjum. Miasto traci na tem nie tylko kulturalnie, ale gospodarczo. Ubytek dwu szkół średnich daje się dziś już silnie odczuć. Z chwilą zniesienia powiatu miasto schodzi do rzędu miasteczek rzemieślniczo-rolniczych. Pozostałe dwie szkoły: Szkoła Ogrodnicza i Szkoła Rolnicza nie wywierają większego wpływu. Pierwsza z nich przyczynia się jedynie do upiększenia miasta (plac Zamkowy, ulice...) i jego peryferyj.

Z towarzystw przoduje S. M. P. Organizuje co pewien czas przedstawienia sceniczne, akademje, odczyty... Bogata bibljoteka T. C. L. szerzy skutecznie oświatę. Dwa razy tygodniowo wyświetla się filmy — możliwe. „Orędownik Powiatowy", gazeta o małym formacie, jednoarkuszowa, tłoczona w drukarni p. Goldbeka, wychodzi dwa razy na tydzień; prócz strony urzędowej i kilku ogłoszeń (licytacje na pierwszem miejscu) nie zawiera nic więcej. Pisma i gazety polityczne, literacko-naukowe, fachowe i sportowe można nabywać zawsze w księgarni p. Królikowskiego.

Na polu muzycznem pracują prof. Heyna, który udzielał w seminarjum śpiewu i muzyki, Figaszewski, dyrygent Koła Śpiewackiego; w młodszych wybija się Rogal, wychowanek seminarjum, zdolny kompozytor i dyrygent Klubu Mandolinistów: „Hawajska Gitara". Należałoby jednak występować nazewnątrz jak np. Koło Muzyczne seminarjum, które pod tym względem najwięcej się zasłużyło. W ostatnim czasie powstały dwie orkiestry dęte, których celem jest raczej interes materjalny nie kulturalny.

Ruch regjonalny w Koźminie dzisiaj nieznaczny; choć zapoczątkował go ks. biskup Łukomski, dawniejszy proboszcz koźmiński przez założenie Muzeum Parafjalnego i wydanie dzieła: „Koźmin Wielki i Nowy". A szkoda, bo materjału dużo. Może ktoś z młodszej generacji poprowadzi zaczęte dzieło księdza biskupa Łukomskiego.

Wpływ innych ośrodków niewidoczny. Miasto żyje lokalnem życiem i tem się zadowala.

Ar-Kadjusz.

Lipiec 1932.

REGENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Marji Janowej Kasprowiczowej

Dziennik
(Moje życie z Nim — Wojna)

W „Dzienniku" uzyskała literatura polska i również światowa niespotykany dotychczas rodzaj. Nie pisała go jednak autorka dla literatury. Ciekawy ten „Dziennik". „Nie są to wspomnienia. Są to notatki, spisywane z dnia na dzień, równolegle z biegiem samego życia", do których opublikowania skłoniło autorkę „przeświadczenie, że zawartość opisanego w nich życia przekracza granice spraw prywatnych, że stanowi ona własność ogółu". Pisała go ta, której dał on „miłość wyjątkową, lecz w miłości jego niema zupełnie tej kobiety, tylko jest on sam". Z kartek tego „Dziennika", pisanego od roku 1910 do 1922 (dalszy tom w druku), przemawia Kasprowicz „w sposób zupełnie inny, aniżeli z własnych dzieł ... już nie jako poeta, lecz jako człowiek". Mówią nam one, jak Kasprowicz, po tragicznych przejściach, napotkał na drodze swego życia swą przyszłą żonę, Marusię Buniczę, Rosjankę, której poświęcił swą, pierwszą i jedyną miłość. Dziwne zrządzenie losu! „Nie mam na świecie nic poza sobą", mówi Ona o sobie. „Niczego tak nie kocham, jak siebie. Ani przez chwilę nie mogę się wyrzec swego małego, ambitnego „ja". A tu, to wielkie „Ja", ogarniając miłością to małe „ja", znajduje w niej siebie samego. W niej doszukiwał się „duszy, w której mógłby utopić wielką, dręczącą samotność". Był Kasprowicz człowiekiem, ale nie na miarę naszą. Stał on poza nawiasem wszystkiego, mimo, że to „wszystko" przeżywał i ogarniał, i dlatego, jak każdy genjusz, czuł się samotnym. Życie tego Samotnika kreśli Autorka we wszystkich jego przejawach. Zbliża się On do nas, jak równie od nas oddala. Im lepiej zapoznajemy się z Nim, tem więcej staje się dla nas tajemniczym. Z jednej strony człowiek, trybem życia do nas się zbliżający, a z drugiej — On w zaświatach, metafizyk. Na tle tego życia kwitnie poezja Jego, która „podobnie, jak dramaty muzyczne Wagnera, przygniata słuchacza, przekraczając skalę wrażliwości ludzkiej, gwałcąc prawa psychiczne procesu uczuciowego" (Chlebowski). „Poezję Kasprowicza nazywają żywiołową... Kasprowicz jest żywiołowym dlatego, że tworzy z musu wewnętrznego. Poezja nie jest jego zawodem literackim, lecz losem życia, koniecznością. Wypisuje duszę swoją z organicznej potrzeby..." (Wasilewski). Ala ta poezja przeważnie dla nas niezrozumiała. I oto „Dziennik" przynosi rozwiązanie zagadek, prostuje najrozmaitsze fantazje, które krytycy snuli na temat choćby tylko „Marchołta". Ogólnie mówiąc, „Dziennik" uprzystępnia wszystkim Kasprowicza. Wartość jego ogromna i wdzięczność winno społeczeństwo wyrazić Autorce, że zechciała i złożyła mu na ofiarę pracę całego życia i współżycia z Synem Kujaw.

J. Szymański.

O. Józefat Ostrowski:

Mickiewicz w Wielkopolsce w 1831-32

Lubicz 1932. Odbitka.

Nasz wieszcz narodowy, Ad. Mickiewicz nie posiada dotychczas godnego jego wielkości i wyczerpującego opracowania „życia i twórczości". Jeszcze dotkliwiej odczuwa się brak monografji o pobycie wieszcza na ziemiach wielkopolskich, dokąd przybył jak wiadomo, na zew powstania listopadowego.

A przecież źródła i materjały na nowe opracowanie pomnożyły się w ostatnich czasach znacznie. Świeżo ukazały się źródłowe dokumenty z pobytu Mickiewicza we Wielkopolsce. Są to nieznane dotychczas przyczynki do biografji i twórczości wileńskiego poety z uwzględnieniem wydarzeń i wiadomości znanych już dawniej, a rozrzuconych po artykułach i gazetach. Dowiadujemy się z tego, że ośmiomiesięczny pobyt poety wypełniły wędrówki po wielkopolsce wraz z nieodłączną żądzą czynnego uczestniczenia w powstaniu. Zwiedził wtedy poeta pod przybranem nazwiskiem Mühla i Niegolewskiego, Kopaszewo, Budziszewo, Konarzewo pod Rawiczem, Tukowo, Oporowo, Poznań, a dłuższy czas w Śmiełowie, Choryni i Luboni — nie wyliczając drobnych posiadłości wybitnych Wielkopolan.

Z dokumentów poznać można dokładniej psyche wileńskiego piewcy, co jest nie mniej ważne — stosunek współczesnych do poety. Jedno uderza mocno, a mianowicie to, że Mickiewicz, jako twórca „Konrada Wallenroda" cieszył się już mianem duchowego wodza narodu, który najgłębiej ze swoich czuje i przeżywa tragedję swojej ojczyzny.

Poeta poczynił dużo ciekawych obserwacyj, które upamiętnione, do dziś przetrwały w mistrzowskiem eposie „Panu Tadeuszu".

O samej publikacji nadmienić należy, że autor-zakonik z klasztoru św. Benedykta (w Lubiniu) nie zadowolił się ogłoszeniem tylko odszukanego nowego materjału, lecz że powiązał go z wydarzeniami życia i twórczości wieszcza. Jedną atoli rzecz przeoczył. Nie oznaczył tych dokumentów, które były już znane, od tych, które po raz pierwszy ujrzały światło literackiej krytyki. W podobnych publikacjach jest to rzecz ważna! Mimo to praca wydana starannie, z ilustracjami i sztychem Adama z 1831, z rzadko spotykaną dozą objektywizmu, uchodzić będzie za pierwszorzędne źródło do monografji o pobycie wieszcza na ziemi Polan.

— — — — — — — — — — —

A. Cz.

KRONIKA

Biblioteka „Wici Wielkopolskich"

Pierwszy tom „Biblioteki Wici Wielkop." obejmujący w publikacjach książkowych utwory autorów grupujących się dookoła „Wici Wielkopolskich" jest już w druku. Przyniesie on zbiór sonetów Stanisława Helsztyńskiego z cyklu „Gniezno i Ziemia gnieźnieńska" pod tyt.: „Gniazdo Orła". Okładkę projektuje prof. Jan Wroniecki. Wewnątrz tomu rysunek Stefana Szmaja. Druk oficyny Andrzeja Prądzyńskiego.

„Wielkopolska wczoraj i dziś"

Dr. Stef. Papée kończy obecnie pracę nad ciekawą rozprawą poświęconą zagadnieniom Wielkopolski „wczorajszej" a „dzisiejszej". Książka ukaże się we wrześniu a ma stać się tak potrzebnym podręcznikiem regjonalnym dla nauczycielstwa i młodzieży

„Wenecja nad Brdą"

Pod takim tytułem ukaże się w najbliższych dniach tom „Dytyrambów" Stanisława Helsztyńskiego, poświęconych Bydgoszczy a wyszłych z pod prasy Drukarni Polskiej. Okładkę projektował Marjan Turwid. Książka dedykowana jest p. red. Konradowi Fiedlerowi, wybitnemu regjonaliście.

Teka „Morska"

Młody wielkopolski grafik p. S. Zgaiński, współpracownik „Wici Wielkop.", ukończył cykl drzeworytów związanych tematycznie z naszem morzem a ujętych w interesującą tekę.

„Nowa Generacja"

W skład „Nowej Generacji" (młodego Związku szeregu art.-plastyków z całej Polski) wchodzą z Poznania: W. Chełmońska, L. Dołżycki, E. Elster, J. Krzyżański, W. Lam, T. Potworowski, T. Taranczewski.

Najbliższy, wrześniowy zeszyt

„Wici Wielkopolskich"

przyniesie artykuły:

Stanisława Helsztyńskiego:

„Współczesna Pieśń o Ziemi Naszej"

Hansa Schiebelhutha:

„Siły żywotne Prowincji"

w tłumaczeniu Zofji Beilmannówny

Alfreda Jesionowskiego:

„Stosunek Kasprowicza do ziemi rodzinnej"

ERRATA

Do sonetu St. Helsztyńskiego pod tyt. „Bogurodzica" („Wici" nr. 10) wkradł się szereg błędów, które niniejszem prostujemy: w 3 zamiast **muntiat** ma być **nuntiat**, w 5 zam. **Paverello** ma być **Poverello**, w 8 zam. **entuzjazmu** ma być **entuzjazm**, w 11 zam. **spowiły** ma być **spowity**, na początku wiersza 6 opuszczono wyraz **pieśń**.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. — W Krakowie: Księgarnia D. E. Friedlein. — W Gdyni: M. Niemierkiewicz.

Redakcja: Poznań Osiedle Warszawskie Słupecka 7. Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Plac Wolności 10 m. 13).

Administracja i sekretarjat redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.